№ 34.

Warszawa, dnia 22 Sierpnia 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w **Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

O DZIESIĘCINIE KOŚCIELNÉJ

W POLSCE (*).

Dostarczanie dziesiątéj części zarobionego przez każdego chrześcijanina przychodu, na cele czci Bożéj, na wsparcie ubogich i podniesienie dobroczynnych zakładów, uważał kościół w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiéj za rzecz pobożnéj woli i sumienia wiernych, potrzebną do ich zbawienia. Nie od razu znaglał ich do tego środkami kościelnego rygoru, i dlatego téż w krajach chrześcjan wschodnich, dziesięcina nawet w późniejszych wiekach, nie stała się normalną na rzecz kościoła daniną. Dopiero koncyljum Makońskie z r. 585 nakazało dziesięcinę pod karą klątwy kościelnéj, a umocnienie tego kościelnego nakazu przez władzę swiecką dopiero w r. 779 przez Karola W. nastąpiło.

Składana ta danina kościelna szła pod dyspozycją biskupa, nie pod dowolną jednakże, tylko z czterech jéj części, jedna szła na samego biskupa, druga na presbyterów, trzecia na ubogich, a czwarta na fabrykę kościoła. Mianowicie téż i ta się norma ustaliła, iż dziesięcina z każdego okręgu parafijalnego przypadać musiała na rzecz własnego parafijalnego kościoła. Mimo tego liczne przykłady z dziejów uczą, iż biskupi pod względem prawa szafowania dziesięcinami i dawania właściwéj części plebanom, często jeszcze z wielką dowolnością postępowali.

W wielu znów krajach, zwłaszcza niemieckich i słowiańskich, gdzie chrześciaństwo późniéj zaszczepiać się poczęło, a ciężar dziesięcinny, uważany był według pojęć narodowych za pewien niewolniczy haracz obcym dawany, nie mogli biskupi owych ostrzejszych dziesięcinnych przepisów z całą ścisłością przeprowadzać. Musieli się tedy stosować do okoliczności z wielką ogledno-

(*) Bibljoteka Warszawska, Lipiec tom III., artykuł An. Zyg. Helcla. Badania w przedmiocie historji dziesięcin kościelnych w Polsce, szczególniéj pod względem tak zwanéj dziesięciny swobodnéj i oddawanéj w gonitwę.

ścią, a sam interes wiary nakazywał często biskupom pobłażliwą względność na stosunki osób, czasu i miejsca.

Ta to roztropność bez wątpienia była powodem, iż biskupi patrząc chętnie na fundowane szczodrobliwością świeckich monarchów i panów w dobrach ich kaplice, klasztory i szpitale, zarazem przez szpary patrzyli, iż świeccy owe fundowane oratorja, klasztory i hospicja, w zupełnéj swéj prywatnéj własności mieli, przychodami onychże przez siebie danemi, wyłącznie dysponowali, a nawet całe te zakłady dowolnie aljenować komu innemu mogli. Zdawało się bowiem rzeczą zupełnie dostateczną, gdy fundatorowie zobowiązani do naprawy budowli kościelnych, do nakładów na służbę bożą i ponoszenia kosztów na utrzymanie kapłanów, dochody brali w swe ręce, i wyłącznie niemi rozporządzali. Dlatego téż fundator i właściciel takich kaplic i klasztorów, w stosunku do nich nosił nazwę Senior i Patronus, zupełnie jak pan i dziedzic względem swoich poddanych, i dlatego kapelanów jak i przełożonych klasztoru oni sami wybierali, a biskupom przedstawiali ich tylko do nominacji.

Te ustępstwa kościoła uczynione monarchom i możnowładzcom w wiekach panowania rubasznéj fizycznéj przemocy, czyli tak zwanego prawa pięsciowego, doszły do tego kresu, iż nawet dobra i przychody własne kościoła, różnemi sposobami przechodziły w posiadanie świeckich osób. Mimo zakazu licznych koncyljów, udawało się szlachcie w Europie popieranéj przez monarchów, wymusić dla siebie wypuszczenie w lenno, i to w lenno dziedziczne dóbr kościelnych. Tym sposobem bardzo wiele nie tylko dóbr, ale i dziesięcin kościelnych przeszło w ręce osób świeckich a duchownym niekiedy ledwo się szczupłe utrzymanie zostało. Często i to się zdarzało, że sami biskupi dla uzyskania potężnego opiekuna, lub zbrojnéj znacznéj drużyny, któréj jako książęta państwa potrzebowali, dawali swieckim w lenno część swoich dziesięcin.

Z powiększającą się oświatą i kościół w wieku XI zaczął nabierać większéj siły moralnéj, i pragnąc się wyswobodzić od ucisku świeckich, zwrot zagarniętych dóbr i dziesięcin pod klątwą nakazał. Ale skutek, mimo ciągle ponawianych usiłowań, nie był bardzo pomyslny, i jeżeli jakaś część świeckich usłuchała, najwięcéj z nich odmówiło zwrotu. Gdy znowu posłuszni rozkazowi kościoła, zwrócili dziesięciny ale nie tym klasztorom do których pierwotnie należały, papieże przeto zezwolili na takie faworyzowanie klasztorów warując tylko biskupom ich prawo przychwalania. Następnie zezwolono na to, aby dziesięciny puszczone z dawien dawna w lenno świeckim przy nich pozostały, nowe zaś po roku 1179, nigdy już na nich przenoszone nie były. Lecz gdy i na to postanowienie niewiele zważano, wiele dziesięcin stało się prywatnym majątkiem świeckich, jakoby prawnie nabytéj opłaty z gruntu.

Co do dziesięcin przeznaczonych przez dziedziców ziemskich na rzecz fundowanych przez nich kaplic i klasztorów, kwestja ich legalności późniéj przez to bardzo się uprościła, że z czasem te prywatne kościoły zamieniły się na powszechne parafje. Wtedy straciwszy charakter własności prywatnéj, nabyły cechę kościołów uprawnionych, jak niegdyś starożytne tylko parafje. Tylko co do prawa ofiarowania przez siebie prezenty proboszczom, nowe te parafje pozostawione zostały pod opieką dziedziców miejscowych. Tak się rzecz miała z dziesięcinami w średnich wiekach w zachodnich i południowych krajach Europy, w których, zwłaszcza we Włoszech, prócz kościelnych dziesięcin, od prastarych czasów istniały dziesięciny nie wyszarpnięte kościołowi, a bądź monarchom, bądź szlachcie dziedziczącéj od poddanych składane.

O początkach zaprowadzenia dziesięcin w Polsce żadnéj pewnéj wiadomości nie mamy, można tylko przypuścić, że ochrzczonemu ludowi przyjemnym obowiązkiem być nie mogła. Przecież to pewna, iż w Polsce, gdzie chrystjanizm nie przez obcych na ostrzu żelaza przyniesionym został, lecz się rozszerzył za wpływem współplemiennych apostołów, ani wiara sama, ani instytucje byt kościołów warujące, tak wstrętnie przyjętemi być nie mogły, jak gdzieindziéj. Zresztą dziesięcina u Polaków nie była wtenczas w Polsce zbyt rażącą nowością, bo i w czasach pogaństwa Sławianie zachodni składali podobnego rodzaju ofijary kapłanom swych kontyn, jakoby na potrzeby obrzędów i książętom panującym tytułem daniny ziemiopłodowéj.

Lecz i ze strony kościoła przy ustanawianiu dziesięciny, można się domyślać znacznéj względności na stosunki nowo ochrzczonego ludu. Pojęciom i zwyczajom niektórym utwierdzonym silnie w narodzie, kosciół jak widać od samego początku zaprowadzenia dziesięciny pewne ustępstwa uczynił. Późniejsze długowieczne spory między stanem duchownym a rycerskim w Polsce miały początek właśnie w tych ustępstwach, naprzód danych, a późniéj cofanych. Badanie ich przeto jest niezmiernie ciekawe, ale gdy jedne z nich łatwe są do zrozumienia, drugie wątpliwe

tylko z trudnością z ciemnic przeszłości wydobyć się dadzą.

Ponieważ z początku w Polsce stolice biskupie głównie cudzoziemcami, a mianowicie Włochami obsadzane być miały, można przeto przypuścić na pewno, iż dla nieznajomości języka i obyczajów ludu, biskupi za przykładem innych krajów, pobór dziesięciny oddawali w ręce świeckich osób, przyjmując w zamian inne wynagrodzenie. Tak często przy osobach świeckich zostająca dyspozycja dziesięcin kościelnych, była w związku z tą okolicznością, iż nasi świeccy panowie uważali się prawnie właścicielami fundowanych przez siebie kaplic i klasztorów.

Drugą tolerancją kościoła w Polsce było, iż mając prawo pobierania dziesięciny snopowéj, przystawał coraz częściéj na zamianę jéj w osepową i pieniężną. Osobista zaś dziesięcina i dawana pierwiastkowo z traw, siana, drzewa i t. p., przy końcu wieku XIII prawie zupełnie ustała. Osepowa ta dziesięcina już się dawno praktykowała, skoro Henryk Lew książę saski przestrzegał, aby Słowianie nadelbańscy płacili biskupowiznę tak jak ją Polacy i Pomorzanie płacą, to jest po trzy korce żyta i 12 pieniążków, od każdéj mniejszéj słowiańskiéj włóki. Przed wiekiem więc XII małdraty czyli osepy i okup dziesięciny były używane, ale musiały one stanowić tylko wyjątki od ogólnéj reguły. W późniejszym czasie wyjątki te tak dalece się mnożyły, iż koncesje w tym względzie czynione, z czasem przemieniły się w zwyczaj.

Od początku wieku XIII datuje się liczniejsze sprowadzanie kolonistów niemieckich do ziem polskich i nadawanie im *juris teutonici* czyli prawa niemieckiego. Gdzie weszli niemcy, lub gdzie w osadach czysto polskich organizacją niemiecką zaprowadzano, tam wchodziły i ich zwyczaje, i tam mieszkańcy poczuwali się obowiązani, nie do wytycznéj dziesięciny snopowéj, lecz do małdratowéj to jest osepowéj i pieniężnéj. W Szlązku, gdzie przez napływ niemców, germanizowanie ludu polskiego najpierw się zaczęło, duchowieństwo wyższe polskie chcąc wstrzymać powiększający się napływ obcego pierwiastku, uderzyło z podwójną zaciętością przeciw téj prerogatywie niemców, przemieniającéj dziesięcinę snopową na osepową. Ztąd przez cały niemal wiek XIII, powtarzały się krwawe zatargi biskupów wrocławskich, z książętami na Szlązku. Opór biskupów, metropolity gnieźnieńskiego, synodów, legatów i sędziów papiezkich, często był skutecznym w hamowaniu wszelką miarę przechodzącéj gwałtowności książąt, którzy składanie osepowéj dziesięciny opierali bądź na zwyczaju długiém użyciem usankcjonowanym, bądź na wyraźnych ustępstwach poprzednich biskupów, które cofnąć następcy usiłowali. Nieporozumienia te, przetrwawszy wiek niemal cały, skończyły się wreszcie ustaleniem ustępstwa kościoła, powódź zaś ta germańska Szlązk zalewająca, wypierająca włościan polskich, w postępowaniu swém musiała być niezmiernie napastniczą, skoro synod prowincjonalny wrocławski z r. 1242 narzekając na szlachtę niemiecką w Szlązku osiedloną, powiada, iż osadzając kolonistami niemieckiemi siedziby włościan polskich, kolonistom tymże każdy szósty łan, jako zupełnie od dziesięciny wolny przyznaje, od szóstéj części wszelkich innych dziesięcin uwalnia, obiecując ich bronić od pretensji duchowieństwa. Skarży nadto Synod szlachtę niemiecką, że biskupów i innych duchownych, którym się normalna dziesięcina należy rzeczywiście, groźbami i gwałtami od słusznych żądań powstrzymuje, a co gorsza, już nawet i téj tak znacznie umniejszonéj dziesięciny nie pozwala od kolonistów w polu snopami wybierać, lecz tylko z gumien pewną liczbę miar, nierównie mniejszą od należnéj brać przypuszcza. Zakazuje tedy synod biskupom i innym duchownym na zmiany podobne lub umniejszenia przystawać, dozwala ich jednak przyjęcia w razie konieczności. Gdy więc Tomasza 1 biskupa wrocławskiego Bolesław II lignicki zamknął w więzieniu i obciążył kajdanami, zmuszony biskup siłą, uznał w dyecezji wrocławskiéj zasadę zamiany dziesięciny wytycznéj na małdratową i pieniężną, z gruntów posiadanych przez kolonistów niemieckich.

Inne ziemie polskie, gdzie żywioł niemczyzny nie wpływał tak silnie na rozjątrzenie narodowego duchowieństwa, wolne były od podobnych gwałtów i nadużyć, i wszelkie koncesje i porozumienia jako między współrodakami, nie rozjątrzane narodową nienawiścią, łatwiéj przychodziły do skutku.

Dlatego też już w wieku XIV za zezwoleniem zapewne pasterzy, w okolicy Czchowa, znajdowały się bardzo upowszechnione dziesięciny, po wsiach z prawem niemieckiém, oznaczone w pieniężnym okupie lub osepie zbożowym. Dla koncesji zaś uczynionéj kolonistom niemieckim, już w XIII wieku dziesięcinę snopową zwano: *Decimam more polonico persolvere*, uiszczaną zaś w małdratach lub pieniądzach, *more teutonico*.

Już więc do początku wieku XVI, tylko w dobrach duchownych tam gdzie biskupi lub przełożeni kościołów sami byli nadawcami prawa niemieckiego dla osadników, zdarzały się w przywilejach zastrzeżenia płacenia dziesięciny snopowéj

w polu wytycznéj. Zresztą zaś upowszechniły się małdraty i okupy pieniężne.

Na Szlązku zatém, nie materjalna strona kwestji o dziesięcinę, taki w duchowieństwie wywoływała opór, skoro w innych ziemiach, przemiana snopowéj na osepową, na drodze wzajemnego porozumienia następowała. W sporze tym, myśl narodowa była główną przewodniczką, przeczuwającą niejako następstwa, które ciągle bez żadnéj przerwy ze strony germańskiego nacisku na ziemi naszéj po dziś dzień się rozwijają.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

W wychowaniu publiczném szczególną tu zwraca na siebie uwagę szkoła założona przez panią Marchef kobietę niezmiernego poświęcenia i należąca do Towarzystwa wychowania praktycznego dla kobiet. Szkoła ta przyjmuje uczennice od lat 12 życia; dzieli się na dwa kursa powszechne i specjalne. Uczennice zbierają się o ósméj rano, opuszczają szkołę o szóstéj wieczorem.

W kursach powszechnych, zajmujących przedpołudniowe godziny, uczą arytmetyki, gramatyki, jeografji, historji, nauk przyrodzonych, rysunków, śpiewu i kaligrafji.

Rozkład więc nauk zupełnie taki sam jak w każdéj innéj szkole dla panien przeznaczonéj, ale za to specjalne kursa niezmierną stanowią różnicę: przeznaczono na nie godziny przedpołudniowe. Na nich uczą: buchalterji, szycia, kroju, haftu, rysunku przemysłowego, wyrobu sztucznych kwiatów, drzeworytnictwa i rozlicznych innych przedmiotów, których znajomość nigdy nie szkodzi, a w wielu razach staje się prawdziwém dobrodziejstwem. Kursa obadwa trwają trzy lata, po przebyciu których, panienka wychodzi na świat z umiejętnością jakiéj pracy, która ją zabezpiecza przed wszelkiemi przypadłościami nieszczęśliwego losu i broni od nędzy i zupełnego upadku.

W zakładzie tym nie zapomniano także o nauce gospodarstwa domowego, o kuchni, apteczce piwnicy, drobiu, krowach, trzodzie chlewnéj, o warzywie, owocowych drzewach, a nawet i pielęgnowaniu kwiatów. Uznano bowiem, że dobra gospodyni, powinna znać z gruntu wszystko, co tylko się zamyka w jéj domowém terrytorjum.

Gospodyń zaś takich potrzeba nam niezmiernie, w kółkach bowiem domowych, mąż w swoim, żona w swoim wydziale, powinni umieć wszystko, i znać się na każdéj rzeczy, jeżeli pragną mieć spokój i szczęście w domu. Tak wychowana panienka. choć niezamożnych rodziców, dla młodzieńca z rozumem i energją, będzie drogocenném bogactwem, na którém pewno się pozna i pożąda go całą duszą i sercem.

Drugiém stowarzyszeniem, godném także wielkiéj uwagi, jest mające na celu niesienie pomocy rannym na polu bitwy, bez względu na narodowość stron wojujących i powód toczonéj walki. Założone po kampanji włoskiéj, rozszerza się po całéj Francji, Anglji, Hiszpanji, Belgji, Holandji, oraz w Szwecji, we Włoszech, i w Badeńskiém, wspierane wszędzie przez miejscowe władze. Zasadniczą myślą tego stowarzyszenia jest tworzenie w każdym kraju komitetów, obowiązanych do wysełania w czasie wojny, ochotników obojéj płci do szpitalów, ambulansów i na pole bitwy i oddawania ich pod rozkazy właściwych wojennych sztabów. W czasie zaś pokoju mają się zajmować braniem pod uwagę reform i ulepszeń dokonywanych po ambulansach i szpitalach, wynalazków tyczących się środków na przenoszenie rannych i t. p., jako też rozszerzaniem między ludnością z któréj składają się wojska, uczuć ludzkości, nakazujących w nieprzyjacielu samym lub pokonanym widzieć bliźniego i brata.

W razie więc gdzie wybuchu wojny, komitety porozrzucane po różnych krajach i jeden od drugiego niezawisłe, winne są natychmiast między sobą porozumiewać się i obu mordującym się stronom spieszyć zarówno z pomocą. Komitety te jak i wysłanników z jego ramienia, zatwierdza właściwy rząd kraju; czynni ochotnicy obowiązani są być obeznani z zasadami chirurgji, trzymać się wojska, żyć z własnych funduszów, dowódzcom nie robić najmniejszego kłopotu, być im we wszystkiém i zawsze posłusznym, na rozkaz swéj władzy przenosić się natychmiast z miejsca na miejsce i to własnym kosztem, lekarstw i chirurgicznych przyborów dostarczać bezpłatnie, nie przyjmować pod żadnym pozorem datków i wynagrodzeń, słowem być wzorem poświęcenia dla bliźnich, a dla siebie nic nie wymagać. Jest wniosek dać stowarzyszonym w całéj Europie pewne oznaki, jakby mundur, któryby zabezpieczał ich od gwałtów i nadużyć wojennych,

Stowarzyszenie to jeszcze nie funkcjonuje, ale opinja publiczna już pośpieszyła ze współczuciem i ofiarą; akademje medyczne i dzienniki wojskowe wszystkich niemal krajów, z zapałem przemówiły za projektem, a we Francji wszyscy marszałkowie przyrzekli stowarzyszeniu wszelkie poparcie.

Tak więc przeciw wojnie, zaczyna cywilizacja

protestować rozwojem miłosierdzia dotąd jéj obcego. Daj Boże, aby to wzajemne zagryzanie się ludzi, jak najprędzéj mieczem miłości i rozumu, ze społeczeństw nazywających się chrześcijańskiemi, wygnane zostało.

W zeszłym roku professor Bouchardat, wykładał wyrobnikom paryzkim, znaczenie pracy i wpływ jéj na zdrowie duszy i ciała. W kursie swym młody professor dowodził, że praca zastosowana do sił człowieka, jest warunkiem jego zdrowia i życia. Człowiek bezczynny jest jak stojąca woda, psuje się. Główną zasadą zachowawczą jest umiarkowane ciągłe ćwiczenie wszelkich władz umysłu i ciała. Człowiek jest to lokomotywa ruszająca się o tyle, o ile węgla spali, z tą jednak różnicą, że żołądek ludzki nie ehłonie paliwa wedle woli palacza, tylko tyle ile może. Nasycenie powinno zamykać drzwiczki, w przeciwnym razie wynika szkoda, a nie zasilenie organizmu. Niepożywna strawa, zbytecznie morduje żołądek, paaca nad siły zabija, praca wyłącznie fizyczna zbydlęca.

Próżniactwo znowu, w ubogim jest często przyczyną zbrodni, w bogatych krzywdą drugich i samego siebie. Niszczy przytém zdrowie, apetyt, a w zamian daje nudy i przesyt. Próżniactwo jak stan najprzeciwniejszy naturze, bogatego zabija, ubogiego znikczemnia i stawia niżéj zwierzęcia Wyszukane i obfite jadło zużywa żołądek, czyniąc z życia powabne konanie, za pomocą podagry i kamienia. Próżniacy! miejcie się na baczeniu.

TALIZMAN.

Stepy — Arabji pustynia dzika,
Pielgrzymów serca smutkiem przenika
Gdy słońce otchłań jej opromieni,
Ocean piasku, szare tumany,
Widnokrąg nieba pyłem owiany,
A po bezludnéj, strasznéj przestrzeni
Ciągną się zwolna w dal karawany.

Wielbłąd, ten okręt stepowy, kroczy
Z siłą olbrzyma po skwarnéj ziemi,
Choć mu słup piasku zaciemnia oczy,
On go rozbija piersmi silnemi,
I swoją drobną stopą znów porze,
Ogniste fale, ogniste morze.

Ale zaledwie słońce się skryło,
Smętna widownia stepu się zmienia;
Tysiące jasnych gwiazd zaświeciło
Z szafirowego niebios sklepienia,
Piaszczyste fale zwolna usnęły,
Zwolna opada tuman z wyżyny,
A nocne cienie w płaszcz owinęły,
Ohydną nagość dzikiéj krainy.

A tam — w oddaii coś lśni bieleje,
To młody farys przez puszczę leci,
Snieżysty rumak rwie się, szaleje,
Ale od konia bystrzéj ulata,
Dumka farysa, dumka skrzydlata.
Oczy araba w górę się wzbiły,
Gdzie się paliło gwiazdek tysiące,
Ale od gwiazdek jaśniéj świeciły,
Te oczy czarne, ogniem błyszczące.

Myśl rozbujała, tęskna młodziana
Tysiącem nocy ukołysana,
Miga, wyziera z bladego czoła,
A bystrym lotem gouiąc gdzieś w górze,
Po przezroczystym niebios lazurze
Ciężkie westchnienie z piersi wywoła.

— Biedna kraino! posępna, dzika,
Odarta z krasy, smętna uboga,
Straszysz nagością swą wędrownika,
A jednak dla mnie tak jesteś droga,
Jak moich przodków popioły święte;
Twoje pustynie, sokolim okiem
Nieprzemierzone i nieobjęte
Są dla mnie życiem, tchnieniem, urokiem.

Czcza rola twoja ogniem spalona,
Lecz kamienisty obszar jéj cały,
Chciałbym przycisnąć do mego łona,
Do mojéj piersi krwawéj, zbolałéj.
Step, to wspomnienie ląt mych wiosennych
To pierwsze pole zabaw dzieciny,
To święta droga Mekki, Medyny.
Step, to kolebka wielkiéj przeszłości,
To krew krwi mojéj, kość mojéj kości.
Kocham cię ziemio moja rodzona,
A jednak boleść serce mi gniecie,
Ciernie przyrosły do mego łona,
Smutno samemu na wielkim świecie.

I czarne oczy ogniem błyszczące
Gdzieś utonęły daleko w górze,
Na przezroczystym niebios lazurze,
Tam gdzie przepływa śnieżysta smuga,
Gdzie mleczna droga miga, połyska,
Gdzie mała gwiazdka zalotnie mruga,
Jasne promyki wokoło ciska.
Ale pod grotem bystrego wzroku,
Maleńka gwiazdka zadrżała, zbladła,
Drgnęła w powietrzu, na ziemię spadła,
Z przezroczystego niebios obłoku,
Zwolna przybiera postać widziadła,
Pełnego życia, tchnienia, uroku.

I w uroczystéj wieczornéj ciszy,
Zdumiony farys rzewny głos słyszy :

— Ty tęsknisz synu i cierpisz skrycie,
Serce ci objął smutek i żal,
Lecz by osłodzić gorzkie twe życie,
Zstępuję dzisiaj z promiennych fal.

Przynoszę tobie talizman drogi,
Piastuj go zawsze przy sercu tuż,
A wtedy życia ciernie i głogi
Będą dla ciebie równianką róż.

On ci przyświecać będzie jak słońce,
Wywrze w twéj duszy cudowny czar,
Obudzi w piersi czucie stygnące,
Roznieci w sercu nieznany żar.

Jam duch poezji z niebios zesłany,
Lecz mnie nie poznał, zapomniał świat,
Tyś jeden tylko z tłumu wybrany,
Więc ci przynoszę nadziei kwiat.

I znikł wpoiwszy w serce nadzieję....
Znów młody farys przez puszcze leci,
Śnieżysta szata w ciemnościach świeci,
Snieżysty rumak rwie się, szaleje.

Oko farysa szczęściem jaśnieje,
I blask nieziemski bije od skroni,
Bo kwiat niebieski tuli w swéj dłoni,
Bo w wrzącém sercu niesie nadzieję.

Seweryn Zaleski.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Pamiętniki z wojny amerykańskiéj, (Dalszy ciąg.)

Autor tak daléj prowadzi swoje opowiadanie.

Pułk mój po przeglądzie i paradzie przed Prezydentem, z Waszyngtonu parowcem przesłany został w dalszą drogę, i d, 30 Marca wylądowaliśmy o trzy mile od fortecy Jorktown przy odgłosie dział nieprzyjacielskich, który z miasta rzucał bomby i granaty na oblegających. Okolica była błotnistą i niedogodną do marszu i sypania potrzebnych baterji. W nocy tego samego zaraz dnia pułk mój posunięty został na linję bojową. Komenderując wartą naszych placówek, całą noc przepędziłem bezsennie przy świetle pękających bomb i granatów.

Pułk mój był dosyć gustownie umundurowany, mieliśmy spodnie zuawskie niebieskie, kamasze białe i pólbutki, surducik niebieski na sposób strzelców francuzkich, z żółtém wyszywaniem; kaszkiet francuzki czarny z żółtemi sznurkami i czarném piórem spadającém na oczy. Przyznać jednak muszę, że nasz pułk jak inne nie był wprawnie uorganizowany i znał tylko powierzchownie pierwsze poruszenia i manewra. Byli tacy co nieumieli nabijać karabina i nie znali użycia bagnetu, a zupełnie nie rozumieli wszyscy komendy pułkownika Conforta, nie umiejącego słowa po angielsku i tém samém nie mogącego się rozmówić z niemcami i irlandczykami którzy w połowie nasz pułk składali.

Dnia 3 Maja dostaliśmy rozkaz udania się na prawe skrzydło linji oblężniczéj dla strzeżenia amunicji, furażu i aresztowania dezerterów. Bitwa pod Wiljamsburg rozpoczęła się jak tu zwykle bywa pojedynkiem artylerji, potém po czterogodzinnéj kanonadzie, nieprzyjaciel rozpoczął ogień karabinowy i zaczął nas spędzać z pagórków gdzie nasza artylerja operowała.

W niektórych punktach pułki nasze mocno ucierpiały, nieprzyjaciel ze zwykłą sobie odwagą, parł nas ku centrum naszemu, i groził zajściem z flanki, a zwłaszcza brygadzie w któréj z pułkiem znajdowałem się. Rezerwa naszego skrzydła poszła w ogień, a z nią i nasz pułk, i przyznać muszę, że żołnierz choć nie wyćwiczony placu dotrzymał, i stał dwie godziny w ogniu armatnim i karabinowym, Oficerowie jednak nasi głowy potracili i tak się za drzewami i w dołach pochowali, że podczas bitwy połowy nie mogłem dopatrzyć.

Nieprzyjaciel skoncentrował duże baterje ku nam, i tak nas zaczął prażyć kartaczami, granatami i szrapnelami w naszym lasku, że przyszedł mi do myśli sądny dzień, gdyż nie tylko że kule gradem spadały, lecz drzewa i gałęzie łamane przez pociski, spadały nam na głowy i raniły potrwożonych żołnierzy.

Nadciągnęła w pomoc brygada, lecz wkrótce wzupełnym nieładzie na brzeg lasu cofać się zaczęła. Gdy wszelkie usiłowania do przywrócenia porządku okazały się bezskuteczne, nieprzyjaciel korzystając z tego, natarł na nas i taki z tego powstał nieład na całéj linji bojowéj, ze widziałem wszystkich pomięszanych i w ucieczce przedzierających się przez krzaki w rozmaitym kierunku. Gdyby nie dotrzymanie placu przez nasz pułk, cała brygada byłaby z pewnością dostała się do niewoli. Wycofawszy się z lasku, odetchnąłem dopiero z całą swobodą, widząc się na wolném polu i nie słysząc nad głową pękających granatów, bomb, szparneli i łamiących się z trzaskiem gałęzi.

(d. c. n.)

SZARADA.

Trzecia pierwsza do liczenia,
Drugie, trzecie, do mierzenia,
Wszystek tworzym przed działaniem,
Zatém koniec, tém zadaniem.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Batory**).



Pomimo że letnie gorąco czuć się jeszcze daje, przeczuwamy już jesień, która nadejdzie niebawem; porzucimy więc bareże i żaknoty, bo tych nikt już w tym roku nie kupi, a powiedzmy słówko o bardzo ładnych burnusach kaszmirowych jakieśmy widzieli w magazynie panien Kuhnke. Wszystkie w ogólności, były długie, fałdowane przybrane na plecach koronką lub pasmanterją, tworzącą jakby rodzaj kapturka, po większéj części podbite były lekkim fularem, gdyż kaszmir przylega do wełnianych sukien, które powszechnie teraz noszą, i bez podszewki nie układa się dobrze.

Jeden z tych burnusów, długi szeroki podbity fularem, miał z tyłu dwie głębokie fałdy; na wierzchu ułożona szeroka gipiura w kształcie chusteczki, kończyła się wielkim jedwabnym kwastem, w miejscu gdzie się stan kończy, taż chusteczka tworzyła z przodu dwa zęby, również zakończone kwastami. U szyi rusza z wązkiéj gipiury dopełniała ozdoby.

Drugi burnus z cięższéj tkaniny wełnianéj zwanéj *Drap de Biaritz*, przybrany był na plecach klapą; w kształcie wielkiego liścia, ogarnirowaną do koła gipiurą i taśmą szmuklerską. Z przodu szła takaż sama klapa, złożona z dwóch połówek, rusza koronkowa zdobiła burnus u szyi.

Trzeci burnus, z wybornego rypsu miał do koła wąziuchną falbankę z fałdowanéj wstążeczki, wązkiéj ledwie na cal, na falbaneczce naszyta była gładka równie wązka gipiurka, która ją całkiem pokrywała. Główną ozdobą tego burnusa, stanowiła pelerynka, oznaczona pięcioma rzędami gipiury, szerokiéj na cztery palce. Na ramionach i w tyle przechodziły przez ten garnirunek ozdoby szmuklerskie, zakończone u dołu kwastami. Rusza u szyi dopełniała przybrania.

Z sukien w tymże magazynie zwróciła uwagę naszą czarna fularowa, w rzucik złożony z kwadracików. U dołu spódnicy szła wązka falbanka czarna z białym brzeżkiem; stanik gładki, do paska spinał się na rząd guzików lawowych czarnych z białą obwódką. Od ramion do stanu, przechodziły przez przody trzy falbanki czarne z białym brzegiem dane jedna nad drugą. Od paska spadały dwie szerokie szarfy, objęte wkoło pliską, u dołu zaś wcięte w ząb i ogarnirowane dwoma rzędami falbanki. Na tych szarfach, dane były po bokach kieszoneczki ozdobione również falbanką. Rękawy wązkie roztwarte do łokcia, przybrane były stosownie, od ramienia spadała falbana fularowa objęta pliską, tworząca szeroki epolet.

Inna suknia z czarnego wełnianego fularu, miała spódnicę gładką, z takąż samą falbaneczką u dołu. Stanik postyljoński, składał się z kamizelki bez bawetu, spiętéj na gęsty rząd wielkich lawowych guzików, i z kaftanika odznaczonego pasmanterją z pacioreczkami, zakończonego w tyle wązkim dosyć długim karoczkiem, z pod téj pasmanterji wychodziła wązka falbanka z wstążeczki na dwa palce; plecy po bokach odznaczone były pasmanterją, zakończoną dwoma guzikami. Rękawy gładkie, obcisłe wygarnirowane u ręki i przez łokieć falbanką, miały oprócz tego, naszytą w górze buffę, przepinaną dwa razy w poprzecz pasmanterją.

O nowo wynalezionym przyrządzie do prasowania, i innych takiego przeznaczenia żelazach.

Pragnąc zapoznawać czytelniczki nasze, z każdą nowością dotyczącą domowego ich gospodarstwa, pośpieszyliśmy obejrzéć nowo wynaleziony przyrząd do prasowania.

Przyrząd ten składa się z dwóch części: piecyka żelaznego na nóżkach, i pokrywy podwójnéj z duszami żelaznemi w kształcie żelaz używanych przez krawców.

Piecyk jest prostokątny, z blachy żelaznéj długości cali 9 szerokości cali 7. Sciana górna piecyka jest wklęsła, a w wklęsłości téj urządzone palenisko z żelaza lanego z takimże rusztem do spadania zarzewia i popiołu węglanego. Popiół uprzątać można za pośrednictwem drzwiczek umieszczonych w ścianie frontowéj u dołu, którędy również rozżarzać można przygaszające węgle.

Pokrywa na palenisko, a raczéj blat podwójny, stanowi drugą część przyrządu. Pokrywa ta składa się z dwóch ścian blachy żelaznéj w kształcie futerału do książki, odległych od siebie o cali cztery. Sciana dolna spoczywa ściśle na palenisku. Sciana zaś górna opatrzona jest wykrojeniami prostokątnemi, w które wchodzą rękojeści roz-

grzewać się mających żelaz, tak że dusza sama w czasie ogrzewania znajduje się pomiędzy równoległemi ścianami pokrywy; leży ona na ścianie dolnéj, a rękojeście umieszczone w tylnym końcu dusz za pośrednictwem otworów wyciętych w ścianie górnéj wystają po nad powierzchnią pokrywy.

Przyrząd ten, jak każdy nowy wynalazek, potrzebuje długich prób, ażeby o praktyczności swéj dokładnie nas przeświadczył.

Dalecy od wyrokowania o jego użyteczności à priori, powiemy tylko, że chociaż głównêm przeznaczeniem przyrządu ma być oszczędność na węglu, to jednak tak bardzo korzystnéj nie upatrujemy tu różnicy. Oszczędne gospodynie nasze czas prasowania stosują zawsze do innéj jakiéjś okazji, grzeją zatém dusze wtedy, kiedy jest ogień na kuchni dla przygotowania jedzenia, albo gdy się w piecach dla ogrzania mieszkania pali; a że po większéj części kuchnie i piece są już do węgla zastosowane, przeto niema potrzeby oddzielnego ogniska do grzania dusz zakładać. Tymczasem przyrząd ten oddzielnie i wyłącznie na ten użytek ogrzewanym być potrzebuje; postawiony zaś na kominie rozmiarami swemi zajmuje bezpotrzebnie miejsce przeznaczane na inne niezbędne do gotowania naczynia. Oprócz tego nastręcza nam się inna jeszcze uwaga, że dusze w przyrządzie są za małe, a jako takie spiesznie stygną, tak że potrzeba trzy razy je zmieniać, aby wyprasować taką ilość, jaką jednym dzisiejszym żelazem da się uskutecznić, a przytém lekkość żelaz zdaje nam się niedostatecznie zastosowana do prassownia bielizny.

Cena przyrządu jednoosobowego wraz z dwoma żelazami większemi, i jednêm mniéjszém, kosztuje złp. 73 gr. 10, podwójnego 120 złp., a potrójnego złp. 146 gr. 20. Cena zatém również nie stanowi różnicy od żelaz mosiężnych, których 3 dwa duże i jedno małe z sześcioma duszami, zdolne 3, osób odrazu zatrudnić, bez potrzeby stawiania oddzielnéj kuchni, kosztuje razem złp. 79 jakoto: żelazo wielkie mosiężne złp. 40; żelazo średnie złp. 27; żelazo małe złp. 12.

Przy téj sposobności oglądaliśmy pojedyncze żelaza zagraniczne w cenie stosownie do wielkości od 15 do 18 złp., których budowa zależy na tém, iż poprostu wewnątrz żelaza kładą się rozzarzone węgle nakryte pokrywą z rękojeścią opartą na dwóch filarkach, tak że prassując prassuje się razem z węglami. Żelazka te znajdujemy niepraktycznemi, raz dla tego że przyduszone węgle muszą gasnąć, czemu niezapobieży dusznik boczny, a powtóre przy otwarciu tego dusznika dla cugu zarzewie i popiół z łatwością na bieliznę wypadać mogą.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia popielata z lekkiéj popeliny, u dołu plecionka w szachownicę, z wstążki popielatéj i czarnéj. Stanik do paska gładki, spięty na jedwabne guziki, przybrany z przodu bertką przechodzącą od ramion w poprzecz stanika, złożoną z plecionéj wstążki. Pas szwajcarski z potrójnym bawetem przybranym trzema kwastami, z pod niego po bokach spadają dwie szerokie szarfy, ogarnirowane gipiurką czarną, u dołu zakończone szeroką szachownicą. Na szarfach dwie małe kieszonki. Rękawy ścinane. Mankiet u ręki oznaczony szachownicą. U szyi fryzka z podwójnéj walansienki. Rękawki pod spód bufiaste muszlinowe.

Figura 2. Suknia czarna bareżowa, broszowana w półksiężyce, u dołu dwie falbanki z gładkiego bareżu, fałdowane w rurki, nad tém naszyta pięć razy gładka wstążeczka czarna, z pod ostatniéj wychodzi znów falbanka do góry. Wzdłuż spódnicy na każdym brycie idzie słup naszyty cztery razy wstążeczką i dwoma odwróconemi od siebie falbankami, słup ten szerszy u dołu zwęża się stopniowo ku górze. Stanik postyljoński na materji pod szyję. Rękawy ścinane do łokcia, podszyte materją u ręki mankiet oznaczony falbanką i wstążeczką, epolet złożony z falbanki. Kołnierzyk webowy marynarski, obszyty walansienką, takież same mankieciki u rękawków. Kapelusz popielaty słomkowy, upięty z wierzchu puklami jedwabnemi, pomiędzy puklami czarny wrzos. Podpięcie nad czołem składa się z kokardy i wrzosu. Po bokach z białéj blondynki. Na zarzucenie chustka popielata kaszmirowa, haftowana jedwabiem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 34 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 22 Sierpnia 1863 roku.

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M......

Dalszy ciąg.

Czy pani znasz dobrze Warszawę spytał po chwili.

— Nie tylko, że niedobrze, ale zupełnie jéj nie znam, choć pragnę tego od bardzo dawna. Okoliczności były zawsze temu przeciwne.

— Może i lepiéj dla rodziny pani i jéj znajomych. Bo sądzę, że gdybyś raz zobaczyła i odetchnęła jéj odurzającą atmosferą, gdybyś raz weszła w to zaczarowane koło, zapomniéćby ci wkrótce przyszło, że jest co więcéj prócz Warszawy na świecie. Nie puścilibyśmy zresztą pani, to pewno.

— A mój Boże! co też to Pan mówisz, zawołała z nieudaną skromnością Idalka. Taka drobna leśna roślinka jak ja, jakże nikło i nędznie wydałaby się wśród pysznych trejbhauzowych kwiatów stolicy? Na jakież boleśne porównania narażoną byłabym, jakżeby mi żałować nie raz przyszło mego cichego, wiejskiego ustronia .....

— Może niegrzecznie, że zaprzeczam bezustannie pani, ale i teraz powiem znowu, że nasze damy, są to prawda kwiaty świetne barwą i wonią, ale ta barwa, to często maska, pod którą naprożno szukasz serca i zapału. Ta woń, którą chcesz czasem ożywić spragnione piersi, to zabujcza często trucizna, która zawsze odurzy, a często zabije moralnie! ....

Mówiąc to, p. Girtenfeld westchnął z głębi piersi, zdaje się dość na ten raz szczerze, a chmura niezmyślonego smutku zaległa na chwilę jego blade czoło. Spojrzała nań z współczuciem Idalka, uchwycił on okiem znawcy to spojrzenie w locie, więc ciągnął dalej również patetycznie.

— Tak pani! to co mówię, mówię z doświadczenia. Wiele ja, wiele przeszedłem na świecie, wiele walczyłem sam z sobą i drugiemi. Znałem wiele kobiet, kochałem może kiedyś, i powiem... że dziś dopiéro ocenić należycie potrafię wartość pysznéj dalilli, a skromnego bławatka. Tamtę pominąć, choćby mi tuż pod oknem zakwitła, tego szukać choćby wśród ostów i cierni, czuję, że mi na sile i odwadze nie zbraknie .... nadewszystko .... jeżeli .... zatrzymał się i wlepił w Idalkę spojrzenie, które miało dokończyć resztę jego myśli.

— Pani prosi do stołu, zawołał lokaj. P. Girtenfeld niechętnie się ruszył, narzekając, że na wsi ciągle tylko jeść trzeba. Nie mogąc ciągnąć daléj rozmowy, bo Idalka na przeciwko siedziała, częstémi spojrzeniami i uwagą bez miary darzył ciągle panienkę, wywołując na jéj lica rumieniec nie wiem, czy skromności, czy ukontentowania.

Po skończonym obiedzie, p. Adam spiesząc do żniwa nie chciał dłużéj pozostać, choć gospodarz bardzo prosił, a p. Lucyan miłosiernie zerkał. Zostawił mu jednak na tyle jeszcze czasu, że zbliżywszy się znowu do Idalki, zapytał czy będzie pamiętać o gościu dnia tego, bo gość w jéj odpowiedzi chce zaczerpnąć odwagę do powtórzonych odwiedzin.

Uśmiech, rumieniec i wyrazy. *„Kto miły to zawsze pożądany”* ucieszyły go widać dostatecznie, bo z wdzięcznością ścisnął za rączkę i uradowany odjechał.

ROZDZIAŁ VII.

Dziwnym był humor p. Girtenfelda po powrocie z Tylczy. Chodził samotny, zamyślał się często, głośno deklamował, rozmawiał nawet sam z sobą, widocznie zajęty czemś bardzo. Naprożno p. Adam w wolniejszych chwilach pytał go o zmianę usposobienia dosyć zwyczajnie krotochwilnego, prześladował go nawet trochę, prosząc niby żartem, żeby mu się przyznał do tego tylko, czy Helenka, czy Idalka zamięszkała w sercu?

Pan Lucyan śmiał się, jak mógł wymiawiał i od tłomaczenia usuwał, nareszcie roztrzepawszy się raz po swojemu powiedział.

— Zabawny jesteś Adamie! dopytujesz się, która! otóż to sęk, nad którym myślę oddawna, a rozbić go nie mogę.Bo powiedz! le choix ést difficile! Ta w swoim, a ta w swoim rodzaju. Tamta wabi oczyma, ustami, wyrazem, pociąga postacią, marzeniem, tęschnotą. Tamtę pieścić i kochać jak swego anioła, z tą bujać i latać po niebios przestworach, i wielbić jak dobroczynne bóstwo. En un mot, ja oszaleję! gdzie jechać? dokąd dążyć? do Tylczy czy do Jedłuwki? poradź mi Adamie! si vous m'aimez, mon cher!

— Ah! ty stary bałamucie. Ty mojéj rady wzywasz? Nie źle się wybrał doprawdy! Bo ja ci poradzę, ale w ten sprsób, że nie pozwolę jechać więcéj, ani do jednéj ani do drugiéj. Nie pozwolę, abys miał głowy zawracać próżno moim sąsiadkom i moim kuzynkom.

— Par exemple! A dla czegóż napróżno? Spytał niedbale p. Girtenfeld przeciągając się w krześle. Któż ci mówi, że ja już niezdolny na prawdę się zakochać, i ożenić... dodał przymrużając oczy.

— Sam to kiedyś mówiłeś, a powtóre daruj kochany Lucyanie, ale jeżeli nie wiesz, którą z dwóch kobiet wybrać, to znaczy że żadnéj nie kochasz; tylko myślisz nad tem, z którą się lepiéj, przyjemniéj zabawisz. Wstydź się, wstydź doprawdy.

— No! no! mój moralisto! Widzę że naprawdę gniewać się już zaczynasz. Więc kiedy tak mówisz, to już teraz do żadnéj nie pojadę. Ale żeby to trudno zawsze było, wiąc trzeba gdzie daléj ruszyć. Wiesz co? jedźmy do Ciechanowca, obowiązek ciąży na mnie odwiedzieć dawnych znajomych, a przytem zabawię tam z tydzień lub dłużéj, a przez ten czas.... i Helenka i Idalka z głowy mi pewnie wywietrzeją.

— A dobrze, dobrze. Odwiozę cię chętnie.

* *
*

O milkę niewielką od Jedłówki leży małe miasteczko a razem podręczny sklep okolicznych mięszkańców.

W następną zaraz Niedzielę, pani Chodowiecka mając trochę sprawunków do załatwienia, oświadczyła swoim panienkom chęć odbycie tamże nabożeństwa. Traf znać, przyjaciel pana Girtenfelda sprawił, że tegoż dnia tejże godziny, i tym samym gościńcem nasi panowie puścili się w podróż.

W połowie drogi Marya obejrzawszy się, przypadkiem, zawołała nagle:

— Helenko! wiesz kto jedzie za nami? zgadnij!

— Domyślam się po twoim wykrzyku Maryniu, odpowiedziała cała zarumieniona Helena, ale zkąd oni się tu wzięli?

— Zkąd? a! ty we wszystkiem zawsze chcesz szukać przyczyny, racyonalistko nieznośna! Przeznaczenie, los, sprowadza ludzi na jedną ścieżkę, dla tego, aby poznawszy się lepiéj, poszli nią już wiecznie razem. Wiesz, nie wierz, a ja ci mówię, że w tém wszystkiem jest cóś nadzwykłego.

Bo proszę cię, gdyśmy myślały że on już gdzie daleko, z powrotem do siebie, gdyśmy obżałowały krótkość znajomości, a ty wysłuchałaś niejednę burę za zimne obejścia, i kaprysy względem niego dziecinne, on zjawia się nadspodziewanie i....

— I przejeżdża koło nas, a może nawet się nie ukłoni, bo to wszystko na niego podobne, dokończyła Helena.

— W téj chwili, w saméj rzeczy, nadjechał wolant p. Adama, bo dwaj panowie poznawszy zdala znajome damy, przyśpieszyli umyślnie, aby oko w oko się spotkać i uprzejmie powitać. Domyśliwszy się zaś, że one do kościoła dążą, wyprzedzili dla tego, aby być gotowemi do wysadzenia z pojazdu.

Nabożeństwo było zaczęte, nie mówiąc nic prawie podążyli wszyscy do kościoła. Pan Lucyan zajął miejsce tuż obok ławki, w któréj klęczały trzy panie. Upostaciował się gdyby jaki posąg, wlepiwszy nieruchome w Helenę spojrzenie, niby nie zważał, że ona coraz to więcéj schyla swą główkę coraz to głębiéj zanurza ją w książce, usiłując pozbyć się wpływu, jaki na nią ten prześladujący wzrok jego wywierał.

Skończyła się przecież summa, wyszli wszyscy z kościoła. Teraz dopiero witano się na prawdę, a pytania i odpowiedzi potoczyły się wprędce z jednéj i drugiéj strony. I tak im jakoś wesoło i miło było z sobą, że pani Chodowiecka widząc, że się rozmowa zanosi na dłużéj, podążyła w miasto za interesami, a panowie tymczasem utrzymywać mieli straż bezpieczeństwa nad pozostałemi.

W Jedłówce, szczególniéj przestrzegano ściśle praw etykiety. Dziedzieniec kościelny jednak znać trochę wyzwalał z pod tego jarzma, bo Marya wkrótce po odejściu matki, pociągnęła p. Adama za sobę na przechadzkę wzdłuż muru, zostawiając, może umyślnie, swobodę rozmowy drugiéj parze, wyłącznie sobą zajętéj.

— Pani modliłaś się tak szczerze, tak gorąco

dzisiaj, że gdyby wolno było, zapytałbym się zaraz co było przedmiotem tych błagań? przemówił p. Girtenfeld głosem jakimś uroczystym wzruszonym prawie. A gdy Helena spuściwszy oczy milczała, on ciągnął daléj z coraz większym zapałem:

Czy wiesz pani, czy ci mówiono o tém kiedy, że nigdy kobieta w oczach zakochanego nie wyda się tak dobrze jak w chwili, gdy klęcząc z kornie schyloną głową, a okiem do nieba wzniesionêm, zdaje się przebijać swym wzrokiem sklepienie, błagając stwórcę o pomyślność dla siebie, o łaskę dla drugich. Ah! szczęśliwy i stokroć powtarzam szczęśliwy, kto sobie zdołał utorować drogę do twego pani wspomnienia w modlitwie. Ona będzie! ona musi być wysłuchaną! Tyle ognia, tyle czarującéj prośby w tych oczach!!! Pani to nazwiesz może natręctwem, śmiałością nie do darowania, a jednak, jam tyle, tyle zarozumiały, że sądzę iż nabyłem już trochę prawa do zapytania, o co modliłaś się tak bardzo dzisiaj?

Złożył ręce, pochylił się ku niéj, i w téj postawie proszącéj wyczekiwał pokornie odpowiedzi. Pomyślała Helena chwilę, a potém zwolna i poważnie odrzekła:

— O! chętnie panu powiem, bo i dla czegóż powiedziéćbym nie miała?

Wszak pan wiesz może, że mam rodziców, że mam i braci, a jednych i drugich dola również mię obchodzi jak moja własna.

Więc modlę się codzień o zdrowie dla nich, o zmniejszenie przykrości, a dodanie im ile można szczęścia. Potem ojczyzna, przyjaciele krewni, wreszcie i o sobie, także nie zapomnę....

I każdą Mszą Ś-tą na szczególną jakąś ofiaruję intencyą. A że widzę, żeś pan na prawdę ciekawy, zaspokoję go nawet i w tym trudnym względzie. Dzisiaj .... o! dzisiaj, masz pan racyą, prosiłam gorącéj jak zwykle, prosiłam sercem, prosiłam całą moją istotą, aby Bóg dobry co wszystko wie przenika jak zechce, pozwolił mi zdrowem okiem spoglądać na ludzi, i ochronił od zawodów, od zdrady, od zbytniéj ufności ....

Mówiąc to wlepiła badawcze spojrzenie w bezbarwną fizyonomią swojego towarzysza, który mimowolnie opuścił wzrok ku ziemi, i dopiero po chwili zdołał się odezwać:

— Pani tak młoda, a już lękasz się za zbyt ufać ludziom. To źle, to źle bardzo. Za nieufnością idzie zobojętnienie, a chociaż wtedy prawda, człowiek panem siebie w każdym razie życia, to jednak ileż to razy, żal i bardzo żal tych cudownych złudzeń młodości, których chłód serca i strata wrażeń nie wynagrodzi pewnie.

— O! co do tego, nie obawiam się zupełnie o siebie, zupełnie zimną i bezwrażliwą nigdy nie będę. Przeciwnie, gdyby mi przyszło oskarżać swe usposobienie, narzekałabym prędzéj o zbytnią wiarę, na zbyteczne wybaczanie ludziom ich błędów, i skłonność kochania ich takiemi, jakiemi są.

Ale że własne doświadczenie i przykłady drugich nauczyły mię trochę być ostrożniejszą, przekonały, że niezawsze z siebie można sądzić o innych, to téż nie mogąc się odmienić w tym względzie, modlę się przynajmniéj, aby Bóg oszczędził mi złudzeń i bolesnych potém odczarowań.

Tyle było szczerości w tych słowach, tyle prawdziwie młodego uczucia, tak była ładną w téj chwili, że podżyły adonis, wzruszony więcéj może niż sam sobie życzył, zawołał z przejęciem:

— Jeżeli kto, to pani nie masz powodu lękać się ich zupełnie, zanadto trwałe wywołujesz wrażenia, zanadto miłemi krępujesz wspomnieniami. Ja sam nie wiem, jak teraz żyć potrafię w Warszawie. Bo wiesz pani, że kres mojego pobytu się kończy, obowiązki wołają do powrotu. I nie uwierzysz pani, jak mi ciężko o téj konieczności pomyśléć.

Czuję, że mię tu owiało jakieś lepsze powietrze, że tu inaczéj jakoś żyć zacząłem.

Potrzebuję wydalając się ztąd, wywieść cós takiego, coby mię cieszyło w chwilach tęsknoty, coby mi dobrze o przyszłości wróżyło.

Potrzebuję wiedziéć, czy zapomnianym nie będę? czy myśl o mnie, zabłąka się czasem w téj ładnéj główce, tak jak myśl o niéj zawsze... zawsze, towarzyszyć mi będzie.

Spojrzała na p. Girtenfelda Helenka i zobaczyła go pobladłym, wzruszonym, przejętym. Uwierzyła mu wreszcie, serce silniéj zabiło, więc drżącym stłumionym głosem odrzekła:

— Pamiętać będę, i wyglądać bardzo, rychło pan czynami stwierdzisz słowa, które dopiero co wyrzekłeś....

— Zapewniam panią, że niedługo będziesz czekała, ma parole, odpowiedział p. Lucyan przychodząc do siebie, a razem i do swéj francuzczyzny. Teraz, nie w méj możności odwiedzić rodziców pani, czas już na to zbyt krótki. Ale radbym przynajmniéj wiedziéć, jak się nazywa ostatnia stacya pocztowa do wioski państwa. Wyjął ołówek, notował skrzętnie, a Helena jakby wolą jego zmagnetyzywana, dyktowała co życzył, pytając siebie w duchu, czy to sen, czy jawa.

— Eh bien! j'ai tout ce qu' il me faut, aby ile razy zapragnę wiedziéć o pani, zapytać się wprost o to. Merci, mille fois merci mon ange! I po-

chyliwszy się ku Helenie wziął ją za rękę, a korzystając z odwrotnego spaceru drugiéj pary, po kilka razy serdecznie ucałował.

Widząc jednak, że p. Adam i Marya skończywszy widać nieśmiertelną dysputę, zbliżają ku nim, przybrał znowu konwencyonalną obojętną postawę, i zachował ją aż do chwili rozjazdu, który téż wkrótce z powrotem p. Chodowieckiéj nastąpił.

Jadąc do domu, Helena pod wpływem świeżego wrażenia, opowiadała kuzynce szczegóły rozmowy-a Marya szczerze jéj życzliwa, winszowała z duszy jéj pomyślności.

Panowie przeciwnie, przez całą drogę nic prawie nie mówili. P. Adam był jakiś zamyślony, p. Girtenfeld chmurny.

Raz jeden tylko wspomniał, mówiąc jakby sam do siebie: „Djable!! to trochę zadaleko!

ROZDZIAŁ VIII.

Smutno i cicho było dnia jednego w Tylczy, bo p. Rzywiński wyjechał na jarmark tygodniowy, a pani Rzywińska na migrenę cierpiąca od rana w łóżku leżała.

Idalka skończywszy lekcyą usiadła z robotą w jadalnym pokoju, chcąc sama, podumać swobodnie.

Dwa tygodnie minęło od wizyty Warszawiaka w Tylczy, a choć wiedziała, że wyjechał gdzieś daléj, czy to jednak na dobre, czy jeszcze z powrotem, nie mało była ciekawą.

Może więcéj jak ciekawą nawet. Może myśl o tém na stałe osiedliła się w jéj głowie, i niepewnością niejedną zamroczyła chwilę. Może na każdy od gościńca turkot mocniéj zabiło jéj serduszko, a niejeden ciekawy badacz serc ludzkich, mógłby wiele wniosków wyciągnąć z humoru Idalki, która zwykle dość wesoło i jednostajnie usposobiona, dziwnie jakoś teraz smętną i rozstrojoną była. Prawdę powiedziawszy, do tego nienormalnego stanu dziewczęcia, niemało przyłożyła się pani Rzywińska, przez swoje często powtarzane uwagi, a jéj mąż przez ciągłe prawie umizgów warszawiaka żartobliwe wspownienia.

Zauważono, i osądzono go mocno Idalką zajętym, co jéj dodało odwagi do przypuszczenia rzeczywistości tego wypadku, o którym sama z siebie marzyćby może nie śmiała.

Bo Idalka rozsądna i myśląca panienka znała dobrze swe położenie. Znała te nieprzeparte siłą postępu, przesądy, krępujące jeszcze u nas szlachetne zarody dobrego. Wiedziała, że u nas choć się nie przyznają do tego, guwernantka, to jakiś rodzaj paryi w społeczeństwie, to biedna, zapomniana istota, którą grzeczkosieje traktują zdawkową etykiety monetą, mniéj grzeczni omijają nie widząc, lub racząc chłodem, nic nie znaczącéj znajomości.

Wprawdzie, obejście gospodarstwa domu o wiele wpływa na usposobienie gości, to téż Idalka trafiwszy na ludzi dobrych a sąsiadujących z jéj rodziną, mogła się nazwać szczęśliwszą w tym razie od wielu. Pomimo to, znalazłszy się czasem w towarzystwie większem, nie mogła nie odczuć różnicy obejść z sobą biedną sierotą, a panienkami córkami obywatelskiemi.

Wszystkie te wspomnienia, stanęły naraz przed oczami jéj duszy, i gdy porównywać zaczęła, przyznać musiała przed sobą, że od dwóch lat spędzonych tutaj, nikt jeszcze nie otoczył ją taką grzecznością, takiem uprzedzającém nadskakiwaniem, jak p. Girtenfeld. Nikt nie rozmawiał z nią z takiem zajęciem, nikt jéj tyle miłych dla serca i ucha nie powiedział rzeczy. Zresztą, nie miała sposobności poznać bardzo ludzi, wierzyła w dobre nie rozbierając i nie podejrzywając wcale, a choć myśl wątpliwości zajrzała czasem do jéj duszy, mówiła sobie zaraz. I dla czegóżby mię, mój Boże, oszukiwał? cóżby mu na tem zależało, aby łudzić taką jak ja dziewczynę, niemajętną i niełądnę? Tak rozumując, skromna i niewiele o sobie myśląca, przypuszczała wreszcie, że jeżeli p. Girtenfeld w istocie nią się zajął, to nie inaczéj tylko z łaski i zesłania Bożego, znalazł się człowiek, któremu się wydała lepszą i piękniejszą od drugich zapewne dla tego, żeby jéj nagrodzić długie lata tułactwa, żeby ukolić niepokój matki troszczącéj się o los przyszły swego kochanego dziecięcia.

Idalka marzyła, a wtém marzeniu, tak zapomniała o wszystkiem, że nie spostrzegła, gdy ktoś obcy wszedł cicho przez drzwi uchylone, a widząc zadumanie panienki, stanął i nieruchomym wzrokiem magnetyzować ją zaczął.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie